

Semiotyczne aspekty głębokiej ekologii

Semiotyczne aspekty głębokiej ekologii (czyli mówiąc po ludzku: jak powiedzieć, żeby nie powiedzieć i jak nie powiedzieć, żeby powiedzieć)

Od razu uprzedzam: tytuł jest wzięty z sufitu. To znaczy pewnie coś znaczy, ale w gruncie rzeczy to bełkot rodem z bardzo „naukowych” podręczników.. Z podtytułem - to zupełnie co innego, wprowadza od razu w samo sedno tego, o czym chcę napisać.

Słyszałam ostatnio opowieść o takiej oto grze edukacyjnej: dzieci budują swoje miasteczko. Każde z nich ma sporządzić małego ludzika, który będzie w tym miasteczku mieszkał. Kiedy ludzik jest gotowy, może rozpocząć „normalne” życie. Dostaje działkę - równą wielkością wszystkim innym działkom. Żeby wybudować dom, musi mieć pieniądze. Cóż więc robi? Zastawia działkę w banku, dostaje pieniądze i od niego zależy, jak je wykorzysta. Załóżmy, że dom faktycznie zbuduje. Ponieważ żyje w **społeczności**, obowiązują ludzika reguły i normy przewidziane dla funkcjonowania takiej właśnie grupy. Głosowanie, **kompromisy**, decyzje. Ludzik może mieć inny pogląd na jakąś sprawę niż jego właściciel, mogą różnie głosować. Osoba prezentująca ową grę z zachwytem opowiadała: w ten sposób uczymy dzieci demokracji, chcą mieć miasto takie jak w Las Vegas, z kasynami i domami gry, to - jeśli się **dogadają** - takie będzie ich miasto. Chcą mieć miasto ekologiczne, będzie ekologiczne. Chcą bank, będzie bank. Chcą kościół, będzie kościół. Muszą się tylko **umówić**. Zachwycona pani opowiadała dalej: my dzieciom niczego nie narzucamy, nie mówimy, jak ma być, czy ma to być demokracja typu greckiego, gdzie każdy zabiera głos i **gdzie jest niewygodnie i wiele czasu to zajmuje** (tu nastąpiła zmiana mimiki - na wyraźnie zde gustowaną: charakterystyczne skrzywienie ust, ton głosu, jakby opowiadało się o rzeczach wstrętnych), czy też chcemy mieć demokrację inną, **gdzie umawiamy się co do najważniejszych rzeczy i potem już zajmujemy się swoimi sprawami** (promienny uśmiech). Ale niczego dzieciom nie narzucamy. Ależ skąd. Pytanie, jak w audio-tele: który rodzaj demokracji woli pani nauczycielka? I w jaki sposób informuje o tym?

I jeszcze pytanie podskórne: czego **naprawdę** uczy dzieci taka gra?

Po pierwsze: schizofrenii. Tak nazywa się stan rozdwojenia jaźni. Zdaje się, że mamy z nim do czynienia na co dzień w formie nieco rozwodnionej pod postacią obłudy i niekonsekwencji: ci sami ludzie wyznają religię, której naczelnym przykazaniem jest „nie zabijaj” i ci sami ludzie niszczą wszelkie inne formy życia poza własnym. Dzieci wychowane na takiej grze będą miały łatwiej. To nie ja, to mój ludzik. Ja jestem porządny/a.

Po drugie: kawałek ziemi, na której buduję dom, jest tylko kawałkiem ziemi i niczym więcej. Nie muszę czuć z nią żadnego związku, jak ją zastawię, to będę mieć kasę. Mogę też sprzedać ją Shellowi albo innemu gigantowi z kraju, który nauczył mnie takiej demokracji (pierwowzór gry pochodzi z Ameryki, a jakże).

Po trzecie: mit umowy społecznej. Nie ma żadnych wartości, istnieje tylko umowa społeczna. Jeśli

umówimy się, że burdele są „centrami rekreacji”, a kasyna napędzają naszą gospodarkę i są jak najbardziej pożądane, to tak będzie. Musimy się tylko **dogadać i zobaczyć, co jest dla nas korzystne**.

Po czwarte: uczestniczenie w podejmowaniu decyzji jest **niewygodne**. Z góry już wiemy, że demokracja bezpośrednia jest niedobra. Zabiera dużo czasu, nie moglibyśmy zarabiać i kupować i rozrywać się. Dlatego decyzje dotyczące naszej społeczności powinniśmy pozostawić **innym**.

Po czwarte: świat jest w znakomitej kondycji, skoro jest jak jest, to tak być musi, niczego nie trzeba krytykować, chyba, że w ramach demokracji tak troszeczkę można skrytykować, ale nie za bardzo, bo skoro jest, jak jest, to tak być musi, nie jesteśmy niewolnikami systemu, jakiego systemu, to przecież nasza **umowa**, nikt nas nie oszukuje.

Odpowiedzi, jakie wyłowiłam zadając pytanie: czego naprawdę uczy taka gra? tak naprawdę są **podstawową** siatką założeń organizujących ten system. Niektóre z tych twierdzeń są zakładane milcząco, jako z góry oczywiste. Nie mówi się o nich, gdyż dla uczestników gry mają pozostać w cieniu. Niewykluczone też, że nie są tych presupozycji (tak nazywamy takie milczące przesłanki) świadomi również nauczyciele, którzy uczą dzieci i cieszą się z tak ciekawej formy nauczania (widziałam, że wielu połknęło haczyk, tym bardziej, że szkolenia na temat, jak taki projekt wprowadzić w swojej szkole są **bezpłatne**). Przedstawia się im tę formę nauczania jako grę o demokracji. W istocie, jest to gra. Tyle, że stawka jest zgoła inna. Niewykluczone również, że nie są świadomi owych milczących założeń sami autorzy projektu. Dlaczego? Po pierwsze: sami zostali tak wyedukowani; po drugie: jedną z podstawowych presupozycji w ramach tej gry jest przekonanie o tym, że jest to jedynie słuszny model. Już u źródeł pokazuje się, która demokracja jest lepsza. Pamiętacie? U was w szkole pewnie też wyśmiewano się z demokracji greckiej, że jest niewygodna (system był trochę inny, ale jego działania zadziwiająco zbieżne z „wolnorynkową” grą kapitalizmu). I że z czasem ulepszono ją i teraz mamy swoich przedstawicieli i to oni rządzą w naszym imieniu. I że to jest słuszne. O innych modelach życia społecznego (w małych wiejskich wspólnotach Południa, ale i Północy, i Wschodu, i Zachodu, które mogą być samowystarczalne, o ile nie wmusi się im „rozwoju”) nie uczono nas wcale, a nawet jeśli, to nie traktowano tych modeli poważnie (bo my mamy penicylinę, a oni nie mieli).

Jedno tylko w tej grze jest inne niż w rzeczywistości: wszystkie ludziki dostają jednakowe działki. Dlaczego? Ano dlatego, że gdyby imitować zastaną nam rzeczywistość i podzielić dzieci na biednych, bogatych i tych, których ludzi się obietnicami bogactwa, to szybko okazałoby się, że cała gra nie ma sensu i że demokracja jest fikcją (bo co z tego, że głosujesz, skoro na mocy partyjnych układów sił wybrany zostaje ktoś zupełnie inny, kampanię wyborczą sponsoruje określone lobby tego czy tamtego biznesu). A tak? W przyszłości będziesz posłusznym „obywatelem” demaskującym tych, co próbują otworzyć ci oczy jako ciemniaków i zwolenników teorii spisku. Ewentualnie wmówi ci się, że grunt to własna praca i że rywalizacja jest zdrowym warunkiem postępu. I że skoro jest, jak jest, to tak być musi. I że tak jest **wszędzie**.

I jeszcze pytanie: A co z tymi, którzy nie zastawią ziemi w banku, bo jest dla nich zupełnie inną wartością, nie podlegającą sprzedaży i przeliczeniu na pieniądze? Odpowiedź znamy i również pochodzi z amerykańskiej gry pt. „dobry Indianin, to martwy Indianin”.

Czego jeszcze mamy się nauczyć? Zwłaszcza, jeśli epoka gier edukacyjnych jest już za nami? Oto przyjeżdża miły pan z jednego z krajów o najbardziej przemysłowym rolnictwie w Europie. Bardzo nas, Polaków, komplementuje. Że mamy tu jeszcze tradycyjne małe gospodarstwa wiejskie, że niewiele jeszcze u nas chemii i że - ogólnie rzecz ujmując - jest bardzo ładnie. Co trzecie zdanie wplata umiętne „nie chcę wam nic narzucać, wy Polacy musicie czerpać z własnych tradycji”.

Opowiada o zielonym oświeceniu. Coś zaczyna mi nie grać (intuicja!- zaczynam czuć dym w powietrzu, choć nikt nie pali), trochę za dużo komplementów. Przypomina mi się fragment hasła „Paternalizm” z „Oksfordzkiego słownika terminów filozoficznych”: „Paternalistyczna opiekuńczość (ofiarowywanie prezentów, pełna wyrozumiałość, prawienie komplementów i dowartościowywanie) nierzadko jest wygodnym przebraniem dla dominacji, np. kapitalisty nad pracownikami, mężów nad żonami, kolonizatorów nad kolonizowanymi.” Za mało konkretów, za dużo idei (bardzo słusznych skądinąd). Na końcu słyszę, że organizacje ekologiczne powinny połączyć nowe podejście przepełnione poczuciem odpowiedzialności z obowiązującym „technological rationalism and globalisation” - czyli technologicznym racjonalizmem i globalizacją. Nie posiadam się ze zdziwienia, jako że jeszcze kilka minut wcześniej miły prelegent skrytykował technologiczny racjonalizm używając wszystkich celnych argumentów. Wstaję więc (na prośbę o dyskusję) i zadaję pytanie: w jaki sposób widzi prelegent możliwość połączenia działalności organizacji ekologicznych z technologicznym racjonalizmem i globalizacją, skoro to właśnie technologiczny racjonalizm i globalizacja są przyczyną przeraźliwego spustoszenia w przyrodzie całej Ziemi? I że to właśnie dzięki procesom globalizacyjnym postępuje chemizacja rolnictwa, rugowanie małych gospodarstw i pustoszenie obszarów leśnych? Jedyne, co (oprócz komplementów „yes-I- totally -agree-with-you”) słyszę w odpowiedzi to (ubarwione opowieściami o pięknie południowej Polski) zdanie, że przecież - my, Polacy z południowej Polski - nie jesteśmy w czołówce globalizacji. No i że miejsce jest dla wszystkich, dla tych radykalnych i nie radykalnych. Tym razem przerabiamy grę edukacyjną pt. **jak powiedzieć (cokolwiek), żeby nie (od)powiedzieć.**

Wróćmy jeszcze na moment na powierzchnię języka. Czyli tego, **jak** o czymś mówimy. Wbrew pozorom możemy w ten sposób dowiedzieć się o rozmówcy więcej, niż z jego deklaracji. Coraz częściej mamy do czynienia z żargonem ekonomicznym w odniesieniu do przyrody. Życie staje się po prostu zasobem, wartością przeliczalną na pieniądze. Pieniądze mają ludzi zmotywować do ochrony ich dziedzictwa. To chyba najbardziej widoczny upadek sacrum. Wykształciły się też dwa języki. Jeden mówi o ochronie środowiska, drugi o ochronie przyrody. Ten pierwszy daje się przedstawić w liczbach i mieści się w filozofii zysku, ten drugi w zasadzie też, ale wówczas traci sporą część komunikatu. Bo jeśli ilość gatunków występujących na danym terenie da się przedstawić liczbowo, to jak w języku ekonomii pokazać zależności między nimi? Utraciliśmy - z obawy przed śmiesznością - zdolność do mówienia w taki sposób: tej góry nie damy ruszyć, bo jest święta, bo żyli tu nasi bliscy, bo stąd pochodzimy i to jest nasze dziedzictwo. Bo jest to najpiękniejsze i najbardziej niepowtarzalne na świecie. Bo to życie, a życie jest cudem. Takim językiem już mówić nie umiemy. Mówimy językiem ekonomii. Zasoby, odnawialne, nieodnawialne, ile jeszcze można wyszarpnąć i jak za to zapłacić. Bogowie (jakkolwiek by ich nie nazywać i jakiegokolwiek byliby płci) opuścili język.

I jeszcze: Trzeci Świat. A jaki jest ten drugi i pierwszy? Nigdy się o nich nie słyszy, słyszy się tylko o Trzecim Świecie. Czyż nie uczy się nas powtarzać w ten sposób jak papugi? Trzeci świat, Trzeci Świat... Ten biedny i godny litości, i pełen **wartości** i duchowości, i wszystkiego co sami zdążyliśmy u siebie zabić. Czy to z zazdrości zabijamy to również i tam, w „Trzecim Świecie”? Bardzo szanujemy, bardzo współczujemy, ale tak naprawdę guzik nas to obchodzi. To **Trzeci** świat.

Na początku był Logos. A raczej Przemoc. I stało się tak, że Przemoc sprzedawano jako Konieczność. I kilka stworzeń stało z boku, i przyglądało się uważnie. Reszta owych stworzeń podążyła tam, gdzie im kazano. I był dym, a nikt nie palił. A z kilku stworzeń wszystkie miały oczy do patrzenia, uszy do słuchania. I usłyszeli z góry głos wołający: strzeżcie się amerykańskich gier edukacyjnych!

Anna Nacher